Ner 15. Kraków, 15go Kwietnia. 1861.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 złr. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

NIEWIASTA.

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 złr. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., nastepnie po 4 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie**, Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

O WYCHOWANIU,

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Zob. Nr. 1, 2, 4 i 7).

Nadzwyczajnej wymaga ostrożności, by panienka nie rozmiłowała się zawcześnie w utworach literatury pięknej — bo łacno to bardzo młodą rozniecić fantazyą, a wtedy od każdej poważniejszej odwrócić się pracy *). Dozwólcie jej *Maryą* Malczewskiego przeczytać, a będzie z uniesieniem powtarzała:

„Czy Marya ciebie kocha? — Mój drogi, mój miły,
Więcej niż kochać wolno, i niż mogą siły!“

I czyliż te wyrazy nie brzmią potwornie w ustach piętnastoletniej dziewczynki?

Tak samo i chłopiec pierwej wydeklamuje, siląc głos młodziutki:

„Kobieto! puchu marny!“

Aniżeli:

„A zkąd Litwini wracają?....“

Jakżeż 14—15to letnie dziewczątko zrozumie *Maryą?* Pochwyci tylko jej ogniste, czarujące wyrazy — i rozpłomieni młodziutką wyobraźnią niepotrzebnem rozmarzeniem, jakąś *fantasmagoryą* uczucia, że się tak wyrażę.

Piętnastoletnia dziewczynka, po godzinie literatury niemieckiej, poczęła *Fausta* przerzucać, wpadła na piosenkę *Gretchen*, i odtąd przez czas długi, rozmarzona, powtarzać raz po raz lubiła:

„*Meine Ruh' ist hin,*
Mein Herz ist schwer,
Ich find' sie nimmer,
Und nimmer mehr.“ itd.

A co tam przy tem w jej główinie majaczyło? — Może i niewiele — ależ i to niewiele niepotrzebnem było.

Czytając dużo powieści, dziewczynka obałamuci sobie umysł, i zechce rychło także jaką powieściową być *heroiną.*

*) Zobacz Nr 1y *Niewiasty* (1860) — artykuł pierwszy.

W naszej literaturze — jak to już powiedziałam — mało tylko mamy powieści, które oznaczam wyrazami *slippery* i *obscène* *) — i pod względem sztuki są to mierności same. Ale mamy dużo tłomaczeń z francuskiego: *Paul de Kock'a, Dumasa* ojca i syna i t. p. bardzo *slippery* i *obscène.* A jeszcze, są to po największej części nader nędzne tłumaczenia, bez znajomości obcego i własnego nawet dokonane języka, jedynie za pomocą dykcyonarza. Takich — uchowaj Boże! — panienka niechaj i do ręki nie weźmie, bo nietylko ich wpływ fatalny, ale i język psują.

W ogóle potrzeba unikać czytania: *lichot* i *ladaczego,* bo: *„Szkoda czasu i atłasu“.* I nie chciejmy ażeby do nas mogło być zastósowanem *motto* do *Zadiga Voltaira:*

— *„Comment pouvez vous preferez — !eur dit le sage Oulong — des coutes qui son sans raison et qui ne signifient rien?“*

— *„C' est précisement pour cela que nous les aimons— repondirent les sultanes.“*

Matka powinna wszystko to sama znać pierwej, co córce przeczytać dozwoli. Zresztą, czytanie powieści powinno tylko na chwile *rekreacyi* posłużyć: jako wytchnienie po pracy. — Wzbranianie ich całkiem, większą tylko nieci żądzę, bo każdy zakazany owoc — jak wiadomo — żywszej nabiera ponęty. — Piękna powieść, moralna, pod okiem matki albo nauczycielki czytana, może nawet dobry wpływ wywrzeć, byle tylko takiego pokarmu nie było za wiele — i dobry, właściwy, uczyniono wybór.

Czytanie w obcych językach jest rzeczą konieczną, (? R). ale jakżeż dziewczęcia strzedz potrzeba od romansów francuskich! — Jakżeż one dojrzalszy nawet umysł obałamucić potrafią!... — Uchowaj Boże! — (powtarzam znowu, by niesłusznego nie ściągnąć zarzutu), ażebyśmy autorom tychże zarzucić mieli, jakoby niemoralna dążność celem ich była — nie, nie! Ale tam jest występek upoetyzowany, wytłómaczony, usprawiedliwiony (?! R.). Opowiadanie pełne wdzięku z doskonałem charakterów oddaniem, z obrazowaniem prześlicznem, z pełnością myśli i porywające uczucie, ciągnie się przez parę tomów, pełnych uroku i zajęcia, a rozwiązanie, następstwa smutne, wynikłości przerazić mające, dopiero ostatnie zawierają kartki, i też właśnie wielkiego żądanego nie sprawią wrażenia. Bo to ostatnie za wysoko nastrojonem zostało przez ciąg poprzednich wypadków, i wyobraźnia, żywo rozbudzona, goręcej chwytała usprawiedliwienie uludne, aniżeli następstwo karzące.

*) Wybrałam obce wyrazy, bo rzecz z obczyzny nam przyszła
P. A.

Któryż więc młody umysł zaczerpnie tam przestrogi i nauki? — Żaden! — a każdy chwyta jedynie i porywa stronę przemawiającą do serca, przechodzi wszelkie *fazy* wraz z bohatyrką — nad którą lituje się — którą zrozumie — drży o nią i współcierpi.

George Sand, o której wyrzekł jeden z krytyków francuskich: że jeszcze żaden autor tak pięknie nie pisał; której pióro czarowne, genialność pomysłów, głębokie uczucie — a nawet i *prawda* każdego zachwyca, — *George Sand* pierwsze pod tym względem zajmuje miejsce, i może być dla młodych, pochwytnych umysłów wielce niebezpieczną. Toż samo i *Balzac*, bo podobno że nikt jeszcze, tyle co on, niewieściego nie zgłębił serca, we wszelkich zadrgnieniach jego i tajnikach. Wielki to badacz, głęboko rozbierający wszystko, i artysta znakomity zarazem. Miał zapewne tylko dobro na celu, o czem nas przekonać mogą ostatnie kartki każdego romansu, ale niestety! ileż to przewrotnych zasad na tej pięknej wyrosło niwie! Za nim idą hr. *de Viel Castel*, pani *Dash*, *Alessandre*, *Dumas fils* i wielu innych. Wreszcie *Feydeau* ze swoją skandaliczną *Fanny*, (i zawsze *Fanny!* bośmy nie czytali jego *Daniel* i świeżo wydanej *Cáthérine*). A *Fanny* jest *slippery* i *obscène*, i szkoda niepospolitego talentu, którym stworzoną została. Także *St. Beuve* jej apologią napisał, a *Jûles Janin* w przedmowie swojej wysoko ją podniósł, dodawszy wszelako: „*Se conseil s' y cache au fond des embâches*. Czyliż rada lub przestroga, która się w *zasadzkach ukrywa*, może być zdrową i cel żądany, poczciwy, sprowadzić?! — Podobno że nie! Chyba gdy to zastosujemy do naszego dawnego a smutnego przysłowia: „Mądry Polak po szkodzie.“ Autor dał swojej *Fanny* dywizę: „*Celui, qui creuse une fasse y tombera, et celui qui renverse une clôture séra mordu par un serpent.*“ A mógłby był dodać:

„*Per me si va tra la perduta gente,*
Per me si va nel' eterno dolore.“ *)

Jest wszelako para powieści *George Sand* i *Balzaca*, których można młodej dozwolić osobie, jak n. p. *Les frères mosaïstes* pierwszej, a *Eugenie Grandet* drugiego, i jeszcze para.

Dzisiaj *Xavier de Montepin* mnóstwo rozsiewa powieści i romansów — zajrzeć tylko do którego katalogu, a wszędzie długi tworów jego napotkamy szereg. Nie wyrównał on, ani głębokością pomysłów, ani obrobieniem i scharakteryzowaniem *kreacyj* swoich, genialnym na tem polu poprzednikom; lecz w obrazach, oznaczonych wyrazem *obscène*, przesadził ich jeszcze.

Jak strzeżecie dziecięcia, które usiłuje płomyk świecy pochwycić, ażeby rączki nie sparzyło, tak samo strzeżcie młode umysły od czytywania dzieł gorszących.

„Jest w młodem sercu uczucie piekielne,
Dziecię gorącej krwi wyobraźni —
A tak wabiące, jak dni weselne.“

Szkody, jaką zrządzić potrafi złych romansów czytanie, nic zetrzeć i nagrodzić nie zdoła.

Wszakże znanym jest straszny i szkandaliczny proces, który toczył się w sądzie brukselskim. Jedyna córka zamożnej obywatelki — należącej do arystokratycznych rodzin belgijskich — przez czytanie przeróżnych, szkodliwych romansów, rozgorączkowała sobie młodziutką główkę, w której też i różne dziwadła i myśli przewrotne roić się poczęły — niby też to namaszczone jakąś wielkością duszy i podniosłością umysłu. Stangret jej matki — stangret jakich jest wielu — zwykle w pokoju panny w piecu palił, i dziewczę widząc go w tem upodleniu, w tem służalstwie, powzięło myśl wielkoduszną, by go wyrwać z położenia tak niegodnego, by go podźwignąć, uszlachetnić, podnieść do siebie, i uszczęśliwić, czyniąc go małżonkiem swoim!.... Doprowadziła szał ten do ostatecznych stopni, z czego potem wyniknął ów proces gorszący, który całą oburzył powszechność.

Maluczkie, nic nieznaczące na pozór drobnostki doprowadzą niekiedy do wielkich rzeczy, i wybornem jest przypowieść hiszpańska:

„Dla braku gwoździca, ginie podkowa;
Dla braku podkowy koń pada;
Upadek konia śmierć daje jeźdźcowi.“

(„*Por uno clavo, se perde una herradura;*
Por una herradura, un caballo;
Por un caballo, un caballero.“)

Angielskie powieści mają przed wszystkiemi pierwszeństwo: bo nie grzeszą obrazami sprosności i poetyzowaniem występku. Wnikają więcej i szczerzej w domowe, w rodzinne życie; malują piękną jego stronę; malują nam naturę; jest w nich prawda i ciepło; zajmują wielce, bez gonienia za *efektem*, bez użycia zbyt *dramatycznych* środków. Powieść polska ma najwięcej podobieństwa z angielską.

Panienka może czytanie obcych utworów rozpocząć romansami Walter-Scota. Obok niego żaden jeszcze powieściopisarz nie stanął: to mistrz! Wprawdzie, interes rozbudzony jak najżywiej i, romantyczność podniesiona wysoko, działają tu wielce na wyobraźnią; ale czyste tam obrazy i postacie piękne, szlachetne, opromienione poezyą i sztuką. Poza Walter-Skotem idzie Amerykanin *Fenimone Cooper*, dalej *Bulwer* — a zwłaszcza też dla niewiast panie: *Edyeworth*, *Fullenton*, *Currer Bell*, *Kavanagh* i t. d.

W Niemczech powieść nierównie niżej stoi — prócz niektórych chlubnych wyjątków w tem niewyczerpanem morzu *romansideł*, jak n. p. *Gutzkow Brachvogel* i t. p. Są to po największej części ckliwe, bezbarwne, bezcelowe opowiadanie, bez myśli i sztuki; albo też tak zwane *Mordgeschichten*, drażniące nerwy, jeżeli lepiej obrabiane bywają, a niekiedy i śmieszne obok wszelkich swoich *Schrecknisse*, jeżeli są przesadzone, obliczone na *efekt*, a bez cienia prawdy. Nadto są w powieściowej literaturze niemieckiej i romanse wielce *slippery* i *obscène*, wyrównywające najwstrętliwszym francuskim, jakkolwiek artystycznie ocenione, nieporównanie niższe od tamtych — i te romanse, o zgrozo! wypłynęły z pod pióra niewiast. Na czele ich stoi *Luise Ashton*, rozwiedziona z Anglikiem tegoż nazwiska — osoba zdolna; ale po manowcach błądząca. Inne piszą pod *pseudonymami*.

Do powieści polecenia godnych, zaliczamy także utwory p. p. *Bremer* i *Carlèn*, których kilka w tłomaczeniu dobrem wydał księgarz Natanson.

(*C. d. n.*)

---

*) Początek napisu nad bramą piekła w Komedyi Boskiej Dantego, znaczy: Przezemnie idzie się między zgubiony naród, przezemnie idzie się do wiecznej boleści. P. R.

MARYNA MNISZCHÓWNA.

(Dalszy ciąg).

III.

Tak więc na zdaniu naocznego świadka polegając, z którym prawie wszyscy, wyjąwszy małą liczbę, z dziejopisów naszych, zgadzają się, twierdzimy, iż ponieważ dokonanie zbrodni na Dymitrze, niegodziwemu Borysowi się nieudało, później dopiero występujący na scenie dziejów Polski i Rosyi Dymitr, nie był, jak go zwią, Samozwańcem, nie był, złośliwie mianowanym Gryszkiem Otrepiewem, kuchtą z klasztoru Bazylianów; lecz twierdzim, iż ów Dymitr był prawym synem i następcą tronu Iwana Groźnego. Zdradą i przekonaniem o udaniu się zbrodni utwierdzony na tronie Ruryków, Borys Gudenof, mógł tylko nad takim nieoświeconym narodem panować spokojnie, jakim byli naówczas Moskale, naród zaślepiony, barbarzyński prawie i wcale nie przywięzujący się do swych monarchów, lecz od nich ujarzmionym, niewolniczo im posłuszny.

Dymitr carewicz, rozstawszy się z nieszczęśliwą swoją matką, wtrąconą z rozkazu Borysa do monasteru, jakoby do więzienia, opuścił niebawem wraz z Symonem Uglicz (Uhlecz); i przez niego do kniazia Mścisławskiego zawieziony został. Tam poczciwy wybawca Dymitra uczył go z całem poświęceniem przywiązanego do domu Ruryków lekarza, i cieszył się bardzo znakomitemi postępami w naukach swego wychowańca. Dymitr bowiem wielkiem i bystrem pojęciem obdarzony, które też już przez Borysa w nim dostrzeżone, stało się tem większym powodem, zgładzenia go ze świata, z wielką pilnością przykładał się do nauk, czując w młodzieńczej piersi nieugaszony ogień zapału zdobycia jak najwięcej wiedzy, tak niezbędnie mu potrzebnej na drodze swego zawodu w przyszłości. Kniaź Mścisławski jednakże, niewiedział długo o tem, kogo u siebie przyjmował. Symon, dopiero gdy na ciężką zapadł chorobę, wyznał kniaziowi całą prawdę, z której się tenże mocno uczuł uradowanym, był bowiem, jeszcze na dworze Iwana bawiąc, przy chrzcie Dymitra i obdarował go zwyczajem w Rosyi przyjętym „złotym krzyżem drogiemi ozdobionym kamieniami". Ten krzyż nosił Dymitr na piersiach: on też teraz był wielkiem świadectwem prawdy słów Symona lekarza. W lat kilka po zrobionem wyznaniu, „cnotliwy Symon, lekarz dni swoje zakończył". Co do następnych lat siedmiu życia Dymitra, napotykamy również rozmaite i sprzeczne ze sobą podania historyków naszych — nie wątpliwą jednakże jest rzeczą, iż czas ten spędził carewicz na naukach, od których go oderwać nikt nie mógł. Wydoskonalenie się zaś w nich zawdzięczał O. O. Jezuitom, którym, będąc do Inflant wysłanym, pod zupełną oddany był opiekę *). Jezuici w Inflantach pracowali gorliwie nad rozkrzewieniem wiary katolickiej, będąc tam od króla Zygmunta III jako najgorliwsi rozkrzewiciele wysłanemi. Zrozumieli oni dokładnie wielką wartość powierzonego sobie skarbu, nawrócili go więc na wiarę katolicką, szanowali go, umysł i serce jego ku sobie naklaniające. Pod ich okiem Dymitr przeszedł wszystkie nauki, i nabył dokładnej znajomości języka łacińskiego, którym biegle nawet „wypisać się umiał". Troskliwi o dobro i dalszą przyszłość powierzonego sobie wychowańca, jak niemniej własne widoki i korzyści mając na względzie O. O. Jezuici, gdy widzieli, iż wykształcony, zdrowy i silny Dymitr zdolnym być już może do pochwycenia za broń, w celu wywalczenia sobie, prawnie się jemu należącego, wydartego przez Borysa tronu, nad tem przemyśliwali, jakiemi by środkami Dymitr najłatwiej dójść mógł do tego. Nad wszystkie zaś inne środki, jakiemi np. były tajemne z Moskwą i z przychylnemi Rurykom korespondencye, najskuteczniejszym ukazywała się im Polska i jej pobożny król i za nim idąca szlachta. W tej Polsce byli Jezuici już wtedy jak w domu. Wpływ ich na dworze Zygmunta był pewny, a właśnie tego wpływu potrzeba im było do sprawy Dymitra, aby nim zobowiązać przyszłego cara do wykonania przyrzeczonych ich zakonowi obietnic i przywilejów. Wpływ ten, pod względem rozszerzania oświaty i nauki kościoła rzymskiego, wielce zasłużonego u nas zakonu Jezuitów; wcale się nam dziwnym wydawać nie będzie, jeżeli się życiu i kształceniu Zygmunta III przyjrzymy. „Od dzieciństwa samego wzrosły pod ich dozorem, od nich powziąwszy pierwsze wyobrażenie religii i nauk, ich zawsze kierowany radami, nawykły nakoniec do osób, ledwie się sam w Jezuitę nie przemienił" *). Nazwiska księży Jezuitów, jak Ś. Boboli, Niskowskiego kaznodziei, Wysockiego spowiednika, Gołyńskiego nauczyciela, Warszewickiego, Leśniewskiego, Skargi, później Laterny, Mateusza Bembusa, Fabrycyusza Walentego i innych, z których każdemu z rodziny Zygmunta jeden za „radzcę sumienia" był przeznaczony, łączą się tak ściśle z dziejami Zygmunta, iż trudno bez nich scharakteryzować jego epokę.

„Na wzór rodziny królewskiej dwór cały się układał, i owszem przesadzać się starał." Zdarzało się też ztąd w narodzie, że za przykładem dworu iść musiał każdy, kto się odeń jakiejkolwiek łaski spodziewał; a często pewien być mógł, iż „faworów odmiennością obyczajów nie uzyskawszy na dworze królewskim, nadaremnem były jego starania." Oto jak dalej zacny Siarczyński maluje owe czasy: „Napełniały się pobożnym ludem kościoły, pomnażała się liczba klasztorów, domy prywatne zakonnych postacie brały. Odpusty, procesye, misye, były więcej uczęszczane od osób wszelkiego stanu, niżeli dziś najlepsze widowiska. Zygmunt, który to wziął z wychowania, iż królestwo jego nie jest z tego świata, iż niema dla niego nic chlubniejszego w życiu nad ćwiczenia pobożności i ku zgromadzeniu Jezuitów przychylność, oboje wiernie i stale dopełniał". Kończy nareszcie Siarczyński te swoje uwagi słowy: „Takim był król, takim był naród". Bardzoby piękną była taka zgodność i jedność między królem a narodem, gdyby tylko duch czasu wtórował był tej, wzajemnej i fanatycznej ich excentryczności, która niestety nie będąc wtedy na czasie, gdy naród wraz z królem pod broń stawać musiał, stała się wielu bardzo późniejszych nieszczęść jedną z większych przyczyną. Owóż bacząc na to pedagogowie Dymitra, rozumiejąc i czując dokładnie to całe usposobienie, i tę ku sobie przychylność króla i narodu, na pierwszą scenę działania wychowańca swego przeznaczają Polskę. Sami nie mogli Dymitra wprowadzić do Moskwy; jego carowanie było im wielką rękojmią pomyślnej przyszłości dla swego zakonu; używają więc za środek Polski, pewni dobrych skutków wpływów swoich. Że zaś w obec panującego w Moskwie Borysa, wypadało się i im i samemu Dymitrowi, o którego śmierci Borys był najpewniejszym, z całą tą sprawą ukrywać, ukartowano rzeczy tak przebiegle, iż z pierwszym wstępem do Polski, dwudziestopięcioletni carewicz będzie się musiał zachowywać tajemnie tj. pod innem nazwiskiem. Dymitr też doszedłszy tego wieku, sam uczuł w piersi swej moc i dzielność odzyskania orężem

*) Wassenberg. Dzieje Władysława IV.

*) X. Franciszek Siarczyński.

wydartej sobie wolności, wydartych praw i tronu. Rozstaje się więc ze swemi przyjaciołmi, odbiera przysięgę zatrzymania w tajemnicy swego rodu, aż do chwili tryumfu i udaje się do Polski nigdzie i nikomu nie znajomy.

IV.

Pod obcem nazwiskiem, znosząc głód i niewygody wszelkie, tułał się przyszły władzca Moskwy, po opuszczeniu Inflant, to po Rusi, to po Wołyniu. Był w Barze u wojewody ruskiego, Gulskiego. Bawił u księcia Ostrogskiego czas jakiś; lecz nikomu ani swego rodu, ani swego posłannictwa nie wyjawił. Przybrawszy na się maskę najbiedniejszego tułacza przechodził polską ziemię o gościnnym chlebie. Pilnie jednakże śledził i badał wszędzie usposobienia Polaków do Cara na nich swojej przyszłości powodzenie budując. Z pociechą dla swego serca i swych widoków znajdował wszędzie najzaciętszych nieprzyjaciół Borysa, i to też dawało mu tem lepszy pochop do wiary w pozyskanie sympatyi Polaków i ich króla. W tułactwie tem swojem, kilka miesięcy trwającem, zaszedł był nareszcie na dwór znakomitego rodem, majątkiem i znaczeniem w kraju, księcia Adama Korybuta Wiśniowieckiego, pochodzącego z litewskiego plemienia Olgierdowego, a spokrewnionego z najznakomitszemi domami w Polsce, jak: książąt Zbarazkich, Poryckich, Woronieckich, (których majętności przeszły w tymże wieku na Wiśniowieckich), i na dworze jego, w Brahimiu niedaleko granicy moskiewskiej, jako biedny tułacz przyjęty, na posługach dworskich czas pewien przepędzał. Posiadając wiele przymiotów serca, czego mu dziejopisowie nie odmawiają, i nie będąc odstraszającej powierzchowności, owszem dość ujmującej, umiał sobie Dymitr i na tym niskim stopniu u księcia pozyskać i swego pana względy i łaski, i jego dworzan przyjaźń i życzliwość. To też gdy pewnego razu mocno był zapadł na zdrowiu, z największą troskliwością czuwano nad nim. Lecz snać zbliżał się czas jego wystąpienia publicznego, i przeznaczenie, prowadzące go do tronu, niemogło zezwolić dłużej na takie poniżenie. Owóż więc, gdy w onej chorobie pogrążony czuł się coraz niebezpieczniejszym i o powrocie do zdrowia zupełnie zwątpił, postanowił przed tym, który będzie posiadał wszystkie jego serca tajemnice, tj. przed spowiednikiem odkryć i nazwisko swoje prawdziwe i wręczyć mu dowody swego odkrycia. Skoro więc tylko kapłana zażądał, przysłano mu natychmiast nadwornego spowiednika księcia, Jezuitę, i przed tym po wyznaniu grzechów swoich odkrył: „że jest prawdziwym carewiczem, że po śmierci znajdzie się pod pościelą jego spisany pamiętnik nadzwyczajnych przygód jego.“ Spowiednik wysłuchawszy z rozrzewnieniem bolesnej historyi prześladowania niewinnego carewicza, wierząc silnie w Opatrzność, nad takiemi ofiarami czuwającą, pocieszył chorego, kazał mu ufać w moc Boga, dla którego niema nic niepodobnego, który go i uzdrowić i do praw wydartych przywrócić może. Potem zaś, tknięty współczuciem dla nieszczęśliwego, doniósł księciu Wiśniowieckiemu o całem zeznaniu Dymitra. Książę udaje się natychmiast do chorego, cieszy go i nad jego niedolą ubolewa. I jest to niezaprzeczenie jeden z wielkich dowodów prawdziwości pochodzenia Dymitra, że tak spowiednik jako i książę tak prędko jego zeznaniu uwierzyli. Zapewne, wiarę tę ich przypisać tylko musim Opatrzności, która nad nieszczęśliwym sierotą czuwała. Książę więc wysłuchawszy z ust Dymitra powtórnie tego samego zeznania, odczytuje z wielkiem zajęciem jego papiery, i „przekonywa się o prawdzie, oddaje cześć winną nieszczęsnemu księciu. Natenczas chory, jak gdyby już nic przed zgonem nie mający do tajenia, okazał, jako nowy dowód urodzenia swego, złoty krzyż na piersiach, drogiemi ozdobiony kamieniami, który mu kniaź Mścisławski, podług zwyczaju moskiewskiego, przy chrzcie darował“. To już utwierdziło słuchających w zupełnej wierze w jego charakter i godność, otaczają go największą starannością, książę często przy jego łożu przesiaduje, cały dwór oddaje mu cześć należną i usługi.

Z woli nareszcie Opatrzności przychodzi do zdrowia Dymitr, przeczuwa bliskie odrodzenie swoje, a pierwszy jego przedświt szczęśliwemu udaniu się na dwór księcia Wiśniowieckiego przypisuje. Wieść o jego wysokiej godności nietylko po ościennych dworach, ale i po odleglejszych już miastach się rozlega. Księża Jezuici, na dworze Zygmunta IIIgo bawiący, od onego spowiednika uwiadomieni, biorą carewicza w swoją opiekę — czynom ich bowiem przewodniczy taż sama myśl, co i owym nauczycielem Dymitra w Inflantach. Wiśniowiecki spokrewniony z wielkiemi domami, i sam wielkiego rozgłosu dostojnik, zaznajamia Dymitra z wszystkimi, wszędzie i u wszystkich wyrabiając mu poszanowanie. I o to zaczyna się właściwe nasze opowiadanie; za wstępne zwroty szanowne czytelniczki przepraszając, przystępujemy teraz do właściwej treści naszej rozprawki. Głównie występującą w niej osobą jest Maryna Mniszchówna, córka Jerzego Mniszcha, wojewody sandomirskiego, a teścia Adama Wiśniowieckiego, z którym odtąd Dymitr zabierając znajomość, zawięzuje aż do śmierci łączące ich z sobą stósunki.

(D. c. n.).

O MUZYCE

Józefa Dra Kremera

prof. przy Wszechnicy Jagiellońskiej.

(Dokończenie).

Wszędzie pełno utysków, pełno gorzkich żalów: że zgasła dawna świętość rodziny, że niema w niej serdecznego spoju. Pod blichtrem kłamliwym form towarzyskich i udanej spokojności, uczucia nie jednej niewiasty kurczą się boleścią na chłód mrożący życie jej rodziny! a pod przymilaniem się wewnętrzną męką wymuszonem, serce nie jednej matki umiera na suchoty, gdy je przez długie, ckliwe lata zdręczy śmiertelnie obojętność oschła i jałowość własnych dzieci jej; gdy to serce jej tak niegdyś pełne bogatej treści, teraz, choć niby wśród swoich, znajdzie się samotne, osierociałe jakby w głuchej pustyni.

Ten rak, co się wżarł w najświętsze stosunki ludzi, jest zaiste ponurym płodem naszego czasu — lecz ufajmy, że się mu obronić zdołamy. Ale ratowanie od niego społeczności jest zaprawdę w rękach niewiast i matek samych, boć to one są ludzkości sercem; one zdołają cudów dokazać proroctwem uczuć swoich; gdy one staną na straży ogniom świętym miłości rodzinnej, gdy kapłanić będę cnym obyczajom domowym — wtedy — lecz jedyn e wtedy znów się zjednoczą ogniwa serdeczne od Boga uświęcone, a będzie pojednane, co chwilowo od siebie odstało.

Ja rozumiem, że podwaliną pierwszą miłości rodzinnej a domowego obyczaju jest jedność łącząca matkę

z dziatwą swoją, i że jedność takowa potęguje się stopniem potrójnym, niby trzema następującemi po sobie epokami życia. Pierwszym stopniem jest owa jedność pierwotna cielesna, gdy życie dziecięcia nie oddzieliło się jeszcze od osoby matki, gdy dusza matki przepromienia sobą duszę dziecięcia, co jeszcze pączkiem duchowym będąc, ma się rozwinąć na Boży kwiat. Tutaj już sama natura poślubiła dusz dwoje jednością; właśnie atoli gdy tutaj dopiero sama natura, sama fizyczność dokonywa tej jedności, dla tego też ten związek będąc niby mimowolny, jest najmniej duchowym, więc najniższym. Gdy wszelako w następnej epoce matka już piersiami karmi niemowlę swoje, gdy własnem życiem dzieli się z życiem dziecięcia swojego, już wtedy nastaje stopień drugi onej jedności; bo lubo zasada i tego stosunku jest jeszcze zakon natury, przecież wykonanie jego od zacnej woli matki zależy, jest tedy juz na poły duchowem, jest to przeto związek fizyczno-duchowy, więc prawdziwie ludzki, bo i człowiek jest jestestwem zmysłowo-duchowem. Lecz w rychle następuje stopień trzeci i najwyższy tej jedności, gdy święte to ogniwo, łączące matkę i dziecię, uzacnia się, uświęca przemieniając na czysto duchowe przymierze, gdy nastaną one święte chwile, gdy matka ducha swojego, rozjaśnionego wiekuistą światłością, wlewa w ducha dziecięcia, — owe chwile, gdy matka uczy dziecię swoje poznawać Boga, gdy je uczy pacierza.

Owa jedność pierwsza, pierwotna, cielesna, lubo od natury dana, choć mimowolna, niechaj przecież będzie uzacnioną od matki myślą świętą, — niechaj matka wszędzie i zawsze ma obecne sobie jako talizman, nieodstępne przekonanie, że się stała nadziemskich, nieśmiertelnych światów powiernicą, że Bóg powierzył jej własnej osobie, jej opiece, jej bez granic miłości zawiązek bezśmiertnego ducha; to przekonanie, ta myśl obroni duszę matki od skalania, od chęci niskich, od gwałtów namiętności własnych; ta myśl, jakby pierwszy promyk niebiański, zwróci ów pączek do wiekuistości słońca. Niechaj później w następnej epoce matka nie zrzeka się świętego prawa żywienia niemowlęcia swojego; wszak to zjednoczenie, jak jest utwierdzeniem a odnowieniem onej cielesnej pierwotnej jedności, tak jest również wstępem a przepowiednią ostatniej najwyższej jedności, bo onego jej przymierza z dziećmi, gdy matka nauką swoją o Bogu złączy dziecię swoje z wiekuistą prawdą. Niechaj matka nie zrzeka się nigdy owego najświętszego prawa uczenia dzieci swoich zasad cnoty i uczciwego obyczaju i uczenia ich pacierza. Jak dawniej krwią swoją, jak następnie piersiami swojemi żywiła dziecię swoje, tak teraz duszę duszy własnej wlewa w duszę pacholęcia swojego, i karmi je wiekuistości piersiami; a matka doczesnego żywota stanie się matką żywota, co niema granic. Gdy przemówi w imieniu wiekuistości do pacholęcia swojego, już stanie się w obec dziecięcia jakoby wysłannicą Bożą i ksienią prawd najwyższych; wtedy dusza matki i dusza dziecięcia złączą się z sobą miłością nadziemską, której nie przezwyciężą burze, której nie przemoże śmierć. A cóż dopiero, gdy pacierz, gdy modlitwa spotęgują się spólną pieśnią, spólnym śpiewem, muzyką! — Już wtedy stopnieje wszystko, co święte i wielkie w sercu matki i w sercu jej dziatwy, spłynie w tonach i akordach spólnych; i dusze ich, jeszcze za żywota, po tonach, po dźwiękach spólnie unosić się będą w niebo przed oblicze Boże — i tam, choć na ziemi zrodzone, spłyną w jedność niebiańskich harmonij — a zawtórują tym harmoniom cherubiny, i zawtórują im harmonie gwiazd, co dźwięczą i grają miłością wiekuistą. A przymierza matki i dziatwy będzie niebo i ziemia świadkiem, i będą mu świadkiem prawa, co są wszech-światów piastą; i matka i dzieci jej, choć jeszcze na ziemi, już będą miłością na wieczność całą połączone. A ta miłość matki i dzieci, jakoby anioł jasności, świecić będzie nad domem, nad obyczajem rodzinnym; a wtedy niczem już klęski zewnętrzne, niczem ludzka zawiść; — zamieci światowe rozbiją się o ściany domowe, a te ściany, choćby najbiedniejszej lepianki, dostoją jako opoka wśród morskich bałwanów.

Taka jest wedle mnie potęgująca się jedność matki i dzieci, co będzie utwierdzeniem miłości rodzinnej i uczciwości obyczaju — a zetrze złowrogą moc, co toczy szczęście ciche, domowe; takie jest wedle mnie najwyższe, najświętsze zadanie muzyki pod domową strzechą.

A znać, że do muzyki takowej nie potrzeba wiele sztuki, ani wiele zachodu; ona prostoty pełna i niewymyślna, łatwa; ona tylko serca pragnie, więc staje wdzięcznym gościem i w chacie biednej i w złocistym pałacu, a wszędzie darem niebiańskim za gościnnoś zapłaci.

Przecież com wyrzekł powyżej, niema pójść na niekorzyść muzyce światowej, sztucznej, artystycznej; miejmy serce szerokie, otwarte na wszystko, co jako piękne, zacne i wzniosłe z ducha ludzkiego poczęte; bo wszystko idzie na chwałę jego a uzacnienie najwyższe. Nie kurczmy się w sobie ślimakiem bezmyślnym, gdy nas dolatują tony i dźwięki obce z dalekich stron, na dalekiej ziemi zrodzone. Wszelako, niechaj pomną mistrze tonów, że ich muzyka wtedy dopiero w głębie serca przejdzie, i stanie się krwią i oddechem duszy wszystkich, gdy będzie jakoby śpiewaniem owego pradziadowego dzwonu nad rodzinnym grodem, więc gdy tej ich kompozycyi zawtórować zdoła cała ojczysta natura, gdy ją zrozumieją domowe lasy i góry i mogiły i rzeki, gdy cała w koło przyroda słuchać będzie tej muzyki, jakby dźwięków onego spiżowego wieszcza nad katedrą naszą, gdy na jej głos zadrży natura, jakby na własne tony swoje, jakby na pieśń kiedyś przed wieki słyszaną — wtedy na taką muzykę roztworzą się serca żywych, roztworzą się groby umarłych.

SAM.

W letni wieczór, w progu chatki,
Na kolanach dobrej matki,
Tak rozkosznie i tak miło,
Młode chłopię się bawiło —
Ja spojrzałem — zapłakałem,
A płakałem czemu — wiecie?
Bom bez matki był na świecie,
Bo ja byłem sam.

Przy księżyca srebrnym blasku,
Gdzie słowiczek śpiewał w lasku,
Na kolanach swej kochanki
Wił młodzieniec marzeń wianki —
Ja spojrzałem — zapłakałem,
A płakałem czemu — wiecie?
Bom kochanki niemiał w świecie,
Bo ja byłem sam.

Na zielonym łąk kobiercu,
Z szczęściem w oczach, z szczęściem w sercu,
Trzech młodzieńców razem stało,
I wesołą pieśń śpiewało —
Ja patrzałem — zapłakałem,
A płakałem czemu — wiecie?
Bom przyjaciół niemiał w świecie,
Bo ja byłem sam.

Sam jak obłok duch mój leci,
Coraz to smutniejszy z laty,
A nademną rój gwiazd świeci,
A podemną pachną kwiaty;
I z kwiatami za gwiazdami
Tęsknię, płaczę nocną ciszą —
Kwiaty, gwiazdy mnie niesłyszą,
I ja płynę sam!

M. Bałucki.

KONKURY Z NUDÓW.

(Szkic z życia).

(Ciąg dalszy).

Miasto to, było tylko miasteczkiem jednem z najporządniejszych liczącem 2000 mieszkańców; lecz zamieszkanem przez samych bogatych starozakonnych bankierów. Fizyonomia jego brudna, bez proporcyi, miała jednakże pod czas jarmarku zwłaszcza ową wesołą barwę, którą się tak przed wszystkimi odznaczają polskie miasteczka. Żywioł jarmarkowy nigdzie może tak nie jest wybitny i przypominający dawne czasy jak u nas, to uderzanie się dwojga gospodarzy w rękę, głośne całowanie, rubaszne śmiechy a głównie to pośredniczenie brodatych negocyantów wrzaskliwych jak kołowrot, zwinnych jak boa, niedarmo natchnęły już pęzel naszych malarzy do tych rodzajowych obrazków. Taki negocyant, nie patrząc niby na ciebie gdy targuje gęś od chłopa, zerka jednak równocześnie bystrem okiem wszędzie zkąd zwąchał najmniejszy chociażby zysk, to też w tej chwili jakby wyczytawszy z twarzy twoje potrzeby, własnomocnie instaluje się na nieodstępnego Cycerone. Ksawery, wjechawszy szumnie czwórką i eleganckim karyklem wywołał z początku niezmierny war, lecz gdy bliżej podjechał, zniknęło całe wrażenie, a machnięcie ręką, obojętnie czy pogardliwie kilku najbogatszych, było jakąś niezbyt szczególną wróżbą. Z pełnem jednak zaufaniem człowieka, który dużo ma, chociaż w kieszeni zostały tylko wspomnienia, postąpił wprost naprzeciw grupy pięciu żydów. Dwóch z nich młodych widać niedoświadczonych zdjęło czapki zupełnie. Starsi kiwnęli tylko poufale głowami. „No cóż Majerku zdrowie?“ — „Co tam zdrowie Wielmożny Panie, jak kieszeń pękata to i zdrowie.“ Tknęło coś nieprzyjemnie Ksawcia, bo dotychczas zawsze mu Majerek mówił: „Jaśnie Panie.“ Majerek Stayerberg napozór figura pospolita, niczem się od swoich współtowarzyszów nie różniąca, miał jednak cechę swoją oryginalną i sobie tylko właściwą historyą. W chwili spotkania się jego z Ksawerym miał już lat 73, a wyglądał czerstwo, krzepko i silnie jakby mąż 40letni. Niewiadomo co go utrzymywało przy życiu, bo o dobry byt nie dbał wcale, chociaż przy zawarciu każdego większego interesu, interesanci naznosić mu musieli cukru, płótna, i t. p., a głównie raczyć go przez 2 lub 3 dni starem dobrem węgierskim winem, na którem się znał doskonale. O wygody takie nie dbały, bo pomimo milionowego majątku; najdalszą drogę nieinaczej odbywał, jak przysiadłszy się gdziekolwiek do znajomego sobie obywatela lub włościanina tak, że dla braku okazyi najważniejszy interes nawet opuszczał. A życie to prowadził jakeśmy rzekli, lat przeszło kopę, więc musiało być coś innego co lało młodzieńczy żar temu staremu spekulantowi w piersi czy w głowę — żarem tym była namiętność zbierania pieniędzy. Ta namiętność trawiła go z początku gorączkowo, potem z pozorem obojętności, zimna, ale uporczywie i jakby dążąc do jakiegoś naprzód wytkniętego celu. Ten kierunek wyzyskiwania kapitałów na drodze nieregularnego przemysłu, na tysiącznych dla chrześcaianina niedostępnych, pobocznych dróżkach, nie jestże, uderzmy się w piersi, poczęści naszą winą! Niezawodnie że żydzi względem nas niesłychanie zawinili swojem izolowaniem się, często i stawaniem po przeciwnej stronie, a głównie wysyssaniem naszych soków żywotnych i wlewaniem tychże nie w swojski organizm, z którego wzięły źródło, — alež poczęści przymuszono ich odosobnić się wykluczeniem praw obywatelskich i pozostawieniem w ich ręku jedynej tylko gałęzi pokątnego zarobku, który ich nienawistnymi wszystkim uczynić musiał. Gdy staną z nami w jednym szeregu, albo nawet pozostawieni w dotychczasowej działalności, gdy też siły materyalne, które dotąd z kraju rodzajem plagi egipskiej wybierali, na korzyść kraju ochotnie i szczerze obrócą, słowem gdy się będą chcieli spożytkować dla wspólnego dobra, czyż wtedy patrzeć jeszcze będziemy na nich niechętnem lub podejrzliwem okiem? Zresztą nie kładźmy na szalę winy jednej i drugiej strony; zaciążyłaby ona niezawodnie po stronie żydów; dzisiaj jednak podanie ręki garnącym się synom, urodzonym przecież na jednej i tej samej ziemi, będzie najlepszym symbolem pomyślnej przyszłości, w obec której powinny runąć w gruzy przykre wspomnienia i zakorzenione uprzedzenia.

Majerek Stajerberg, który czytał pilnie wszystkie gazety niemieckie, a nawet jedne polską trzymał na siebie, a drugą polską kazał sobie zawsze z cukierni przynosić, Majerek, który był świadkiem wielu krajowych wypadków, który robił tysiące interesów z magnatami, szlachtą i ludem, który znał wszystkich prawie, według rodu, majątku, a co ważniejsza klasyfikował ich według osobistego honoru; Majerek miał swoje, własne widzenie rzeczy.

I Majerek swoim poufnym, swojej progeniturze tak rozpowiadał: słuchajcie, my jesteśmy w Polsce tyle lat, a nas ciągle nienawidzą, i ciągle mówią: żyd a pies to jedno, dla czego to? No jużcić prawda, że my drzemy zanadto ten naród, który nam od tak dawna daje przytułek — ale jak my go nie podrzemy to go kto inny rozedrze — a na co się oni nam dają drzeć? — Ale słuchajcie teraz czas przyszedł, że się wszyscy zrównamy, więc trzeba abyśmy starzy pracowali w pocie czoła, majątek zebrali, a dzieci nasze czy wnuki, żeby ten majątek mieli gotowy na usługi powszechne — a co?“ Obecni kiwali dość ochotnie głowami na znak posłuszeństwa, lecz młody Szmul, rodzony syn Majerka, wychowany w głodzie i nędzy pomimo milionów ojca, miał zdaje się inne o tem zdanie, i niekoniecznie oddałby wszystko na potrzeby powszechne, bo kiwnął szyderczo głową i mrugnął małemi ślipiętami. Dość jednak, że

Majerek tak tłumaczył swoją chciwość, bo kiedy bierał swój procent od obywateli, zawsze mówił z westchnieniem: „Moje dzieci to panu oddadzą z procentem“ — czego długi czas nikt nie rozumiał, aż się on sam przy starym węgrzynie o swoich ideach narodowych rozgadał. Majerek cenił bardzo majątek, i tego, który go stracił a potem do niego przyszedł prosić o pożyczkę, nazywał wprost głupcem mówiąc: Jak Wielmożny Pan, daruj mi Wielmozny Pan, był głupi; — ale Majerek cenił jeszcze więcej słowność, i to było jedną z cnót jego. Ten, którego on znał za dotrzymującego słowa, za oddającego w terminie, miał u niego nieograniczony kredyt, a nawet pewien rodzaj szacunku, co jest dowodem że czasem kredyt jest rzeczywiście oparty na szacunku osoby, wbrew historyi ekonomii dzisiejszych czasów. Każdy jednak pożyczający musiał się poddać pod napisanie pewnego formularza kwitu, który brzmiał następnie: „Niżej podpisany obowiązuję się oddać Majerkowi Stajerberg pod kpem summę i t. d.“ i ten kwit był jedyną dla niego hipoteką. Nie dziw więc, że ta jego oryginalność, ten rodzaj łatwego dostania pieniędzy łowił setkami pożyczających, którzy jednak wszyscy na termin, mimo innych może przedsięwzięć, oddawali sumiennie, patrząc na słowa kwitu: „pod kpem oddać się obowiązuję.“ W podobnych też stosunkach był Ksawery z Majerkiem, w trzech latach zapożyczył się u niego na wielkie sumy, a że ostatniej z tychże na terminie nieoddał, więc jakoś rozeszła się klauzula kwitu głośno między obywatelstwem, a Ksawery stracił u Majerka zupełnie zaufanie. Pierwszy raz jednak Majerek zagadnął Ksawerego słowami: Wielmożny Panie, dotychczas chociaż zawsze z jakimś uśmiechem mówiąc mu: Jaśnie, i to jakeśmy rzekli, pikło naszego bohatera. Nie tracąc jednak fantazyi wprost zaczepił go o nową pożyczkę, Ale żyd tylko ruszył ramionami pogardliwie i mruknął: „E kwit!“ — „Ależ mój Majerku chodźmy na wino, a tam ci dokładnie opowiem moje plany.“ — „Na wino możemy zawsze pójść, rzekł, ale plany to jeszcze mniej warte jak kwity“. Ksawery się skrzywił, ale chcąc do reszty udobruchać Majerka, wziął go pod rękę i tak rynkiem zaprowadził do winiarni. Przy winie stanęła następna konkluzya. „Wielmożny Pan — rzekł Majerek, pojedziesz do państwa Wąsewiczów, panna Katarzyna, jest i piękna i mądra i gospodarna okrutnie, a nadewszystko bogata, — ma 150,000, i złodziej ich po ślubie nie ukradnie, ale ojciec ciepłą ręką ich wypłaci, tylko trzeba tych kondycyów, jeżeli się uda, (tu zaczął na palcach rachować): 1) Zapłacić mi wszystkie długi i owy kwitek co pan wie. 2) Zapłacić mi faktornego 2000 Złtpl. Zgodzi się pan na nowy kwit, ale już pod szelmą, to ja znów zaforszusuję, a co do tych 2000, to pan także pod rygorem zapewni, a co?“ — „Daj rękę Majerku — najpoczciwszyś z bogatych — pojutrze jadę w konkury ale jak się nie uda?“ — „No, no — ja Wielmożnemu panu mówię, że się uda jak pan będzie chciał, bo to panna, co chociaż odpaliła już ze 3ch szlachciców, to przecie tylko gęsi widziała a nie przystojnych paniczów — a pod nosem mruknął birbantów.

Ksawery napisał oba żądane kwity i w godzinę potem wsiadał do powozu. — Majerek zaś czerwony i promienny, a zdaje się, że od ulubionego węgrzyna, żegnał go mówiąc: „Niech jeno Jaśnie pan niezapomina pannę Katarzynę!“

Dom PP. Wąsewiczów.

W żyznej, sławnej z dobrej gleby okolicy była wieś p. Bartłomieja Wąsewicza, szlachcica, jak grzeczni sąsiedzi mówili, jeszcze starej daty. Wieś jedna z największych z pomiędzy wszystkich sąsiednich, obfitująca w łąkę, mąkę, ryby i grzyby, prowadzona ręką rządną, zabiegłą i pilną, nie dziw że dodawała dużo powagi jej szczęśliwemu posiadaczowi. Powiadamy, szczęśliwemu, bo p. Bartłomiej był rzeczywiście bardzo szczęśliwy w swojem rozumieniu, chociaż nigdy nieumiałby zdefinować swojej pozycyi. Miał majątek z początku wprawdzie już niemały, ale rzeczywiście głównie powiększony zabiegłością i niezaniedbywaniem najdrobniejszych spekulacyj; miał wszystkie wygody, za któremi w młodości tęschnił, miał zewnętrzne poważanie u obywateli-szlachty, o którem również dawniej nie marzył, i miał wreszcie córkę przystojną, rumianą a podobniuteńką do nieboszczki Basi. „Miał swoje gusta, których mu nikt nie wzbraniał, miał swoje systema i zapatrywania się na ludzi, którym potakiwano — miał wreszcie tylko swój naturalny, żadną nauką ani czytaniem nie podniesiony umysł, a wszyscy szli do niego w każdem zdarzeniu po radę, jakkolwiek bardzo często w tym punkcie zawodził. Złośliwi, podobno nie dobrze poinformowani, mówili, że p. Bartłomiej przyznający się do herbu „Odrowąż“ puścił po prostu za młodych lat, za lat swej służby, pana swego, u którego był potulnym ekonomem, z torbami; więc że właściwiej powinienby być herbu „Odropan“, co jednak nietylko nie bardzo jest etymologiczne, ale i przeciwne zdaniu owych, którzy tylko same cnoty w nim obywatelskie widzieli. Niewiemy kto miał zupełną racyą, ale zboczywszy trochę, a zastanowiwszy się dobrze, do tego rezultatu przychodzimy, że opinia u nas jest nadzwyczaj miękka, że bez wahania podajemy rękę łotrowi w znaczeniu, jak też często bez wahania niepodajemy jej zacnemu będącemu w biedzie. Ten przymus moralny jaki sobie zadajemy, żyjąc nieraz z człowiekiem haniebnych dążeń, ten brak szlachetnej odwagi usunięcia się od złego człowieka, pochodzi u wielu z obawy narażenia się na opinią jakiegoś Katona vulgo bociana, u większości jednak, boleśnie powiedzieć, z owego wyrafinowanego kosmopolityzmu, który równając wszystkich w obec złota i form zewnętrznych, wynalazł jeszcze ową wygodną formułkę, mającą za sobą pozór dobrego wychowania: „cóż mnie się wtrącać do kogo!“

Pan Bartłomiej miał więc jedną tylko córkę Kasię, pannę w dyskretnym wieku, której wychowanie moralne i umysłowe powierzył losowi, ucząc jej tylko gospodarstwa kobiecego i rolnego. Kasia przystała z zapałem na kierunek zatrudnienia, i nikt z większą ochotą nie pilnował przy żniwach, nie karbował starym zwyczajem w stodole, nie jeździł w pole na żwawym rumaku, i nie wstawał raniej od niej. Ojciec widząc już jej wprawę i powagę u ludzi, jaką sobie zjednać umiała rozkazującym i dość grubym głosem, a często nawet podniesieniem ręki, w której był ojcowski monitor, wyręczał się nią jakby synem — a Kasia zadowolona nieustannym ruchem, władzą, zajęciem, była doskonałym, godnym naśladowania młodym gospodarzem, ale bynajmniej nie doskonałą i miłą panienką. Zahartowawszy się fizycznie, straciła wszelki powab kobiecości, rysy od ciągłego rozkazywania, czy narażania się na wszystkie zmiany powietrza, ściągnęły się zbyt ostro, głos stał się zbyt gruby i chrypliwy, ruchy zbyt męzkie — tak że pomimo twarzy przystojnej, nadaremnobyś wzdychał do jej wielkich czarnych oczu, bobyś się tylko w nich dopatrzył zamyślenia o schabie, który wydano dla czeladzi. Pomimo tych usterek, które w oczach sąsiadów mających synów dorosłych, uchodziły za złote i nieoszacowane cnoty, miała jeszcze panna Katarzyna złote przymioty t. j. jak Majerek mówił, 150,000 zaraz, a po najdłuższem

życiu, ojca trzy razy tyle. Panna Katarzyna wiedziała o wszystkich tych swoich zaletach, a otaksowawszy się sama jeszcze wyżej, spokojnie patrzała w tę dla wielu innych panien tak straszliwą przyszłość. Spokojnie też patrzała i słuchała, gdy przyjechał młody wymuskany hrabicz i pewny zwycięztwa protektorsko uciął oświadczenie, — spokojnie powiedziała mu, że jeszcze smarkacz; — spokojnie odpowiedziała znacznej rangi urzędnikowi, który się nawet jej bardzo podobał, że za niego niepojdzie dla tego, bo ona w mieście mieszkać niechce; najspokojniej wreszcie rzekła kuzynkowi czyhającemu na jej posag, iż niemyśli tak lekko wypuszczać z rąk swego kapitału. To obojętne rozdawnictwo odkoszów, zamiast od niej odstręczyć, tem więcej jeszcze ściągało pretendentów. I tak: jednego dnia przyjechał pan Dezydery, właściciel wielkich zadłużonych dóbr; drugiego, pułkownik ułanów, piękny mężczyzna; trzeciego nawet pan prezes, wdowiec, ojciec trojga dzieci, a każdemu z nich umiała bez ceremonii powiedzieć: że jeździ nadaremnie. Gdy się jej jednak te ciągłe najazdy sprzykrzyły, oświadczyła wręcz ojcu, że się nikomu więcej niepokaże, czem przestraszyła bojącego się obmowy ojca. Może, gdyby był Ksawery o tem wszystkiem wiedział, niebyłby się tak łatwo dał przekonać radami Majerka; lecz Majerek czy pełen zaufania w jego gwiazdę, czy podając heroiczny środek, zamilczał o tem zupełnie.

Ksawery więc bez wahania wybrał się niby z wizytą, tą razą, wiedząc już o gustach starej daty pana Wąsewicza, nie z wygalonowanemi lokajami i nie z angielską uprzężą, ale piątką siwoszów w krakowskich chomontach. Dżokeja Johna przebrał po kozacku, a sam ubrał się obszerniej a nie tak kuso, jak zwykł był wprzódy. Przed samym wyjazdem wstąpił do matki, u której, mówiąc nawiasem, niebył od owej stanowczej rozmowy. Niebył zaś dla tego, bo — niechciał jasno przedstawić stanu swego majątku, nadwerężonego znacznie, niechciał wyliczać najświeższych bez wiedzy matki porobionych długów, nie rad był jej martwić przez resztkę synowskiego uczucia. O rozejściu się pierwszem z Zosią tylko w krótkości i dwuznacznie napisał — o nowych zamiarach nic nie wspominając. Przyjechawszy zastał matkę z podpartą ręką na stole, strapioną i narzekającą jak zawsze. Gdy usiadł i rozpoczął rozpowiadać swoje koleje, matka słuchała uważnie, często wzdychając, to znów mówiąc kilka zrozpaczonych zdań; lecz że jedynacy wywierają zawsze nieograniczony wpływ na zaślepione matki, to też i ona popatrzywszy na jedynaka nabrała otuchy, i już z uśmiechem w drogę się wybierającego pożegnała.

(C. d. n.)

WIADOMOŚCI
Z HISTORYI NATURALNEJ,
z poglądem
na użytek gospodarski.

Ciąg dalszy.

Kret, ryjąc podziemne przechody, uszkadza przez to korzenie roślin i psuje jednostajność naturalnych kobierców na łąkach i ogrodowych trawnikach; jednak wynagradza tę szkodę żywiąc się ślimakami i różnego rodzaju chrząszczami, jakiemi są żuk, krówka i t. d., wynagradza poniekąd szkodę pożerając nawet poczwarki tego uciążliwego robactwa.

Zybet albo *Wiwera* w Afryce i Azyi znachodzący się, dostarcza nam płynu tłustego, silnie i przyjemnie woniejącego, zwanego *zybetem*.

Ichneumon, w Egipcie wyjada jaja krokodyle, i chciwie się na węża rzuca, którego pokonawszy, pożera. Ichneumon w zachodnich Indyach jeszcze więcej jako niszczyciel wężów znany.

Rodzaj *kun, łasic i tchórzów* z ładnych *tomoków* i *etków*, ale także z dławienia drobiu dostatecznie znajomy.

Borsuk, prócz futra, na torby myśliwskie używanego, daje nam w różnych słabościach tak pomocny *skrom* (sadło?) *borsuczy*.

Rosomak, w Szwecyi i Norwegii żyjący, rzuca się na renefy, a nawet na niedźwiedzie, a wbiwszy im w kark swe pazury, póty nieustąpi, póki napadnięty zwierz w biegu sił niewyczerpie i niepadnie.

Niedźwiedź pospolity, jak niepoczesny, tak rzutny i osobliwie w spinaniu się na drzewa zręczny. Bardzo lubi miód, dla tego zrządza szkody w pasiekach. Nazywają go także *bartnikiem*(?). Futro, tłuszcz i mięso używają się z niego, a osobliwie łapy mają być łakocią.

Szop, bardzo używanego futra nam dostarcza.

Niedźwiedź biały, morski, daje okrycie wyborne północnym mieszkańcom, którzy tran z jego tłuszczu za miły używają napój.

Rodzaj *psów* swojskich niepotrzebuje podobno szczegółowego wyliczania użyteczności, jakiemi człowiekowi służy *). Należący do dzikich psów

Wilk, znaczne szkody po owczarniach i oborach wyrządza, choć nam za to ciepłego dostarcza futra.

Lis, z którego myśliwcy tak pilnie koszulkę zdzierają, psuje drób przy gospodarstwach wiejskich, lubo się myszami, zającami, królikami ect. najwięcej żywi. Chytrość, jaką go natura obdarzyła, zdaje się być przesławioną.

Szukal, żyjący gromadnie w Azyi i północnej Afryce, jest bardzo żarłoczny i psuje nadzwyczaj owce i zwierzynę.

Hyena, nienależy do psów; żyje gromadnie w zachodniej Azyi i północnej Afryce, wychodzi w nocy na zdobycze, które prześladuje ze straszliwą zaciekłością; najwiecej robi szkód w owcach, kozach, osłach, koniach, a często nawet panterę, rysia, ba! i samego lwa odgania.

Rodzaj *kotów*, człowiekowi wiele daje pożytku, lubo nadzwyczaj krwiożerczy. Między innemi.

Kot domowy, chroni dom od szkodliwych zwierzątek, i niezłe ma futerko. W niektórych okolicach używają nawet jego mięsa. Jelita wyrabiają się na struny do muzykalnych narzędzi. Kot często pożarów może być przyczyną, gdyż siadując po wiejskich chałupach blisko ognia, i kręcąc się po nalepie w piekarniach, chwyta ogień przez to, że się iskry w jego sierść zaczepiają, które spłoszony na strych między łatwo palne przedmioty wynosi.

Ryś, opatruje nas w dobre futro, lecz sprawia w kniejach tem większe szkody, że niezjada zwierząt zdobytych całkowicie, ale tylko mózg i krew z nich spożywa.

Ładne runa otrzymujemy także, najwięcej używane na kosztowne czapraki, z *lampartów, panter, jaguarów, tygrysów*. Wreszcie kuśnierz (runiare) wyprawia także futerka z *wiewiórek, chomików*, (skrzeczków), *bobaków*, (świstaków), *królików, zajęcy, zbików, popielic* (pilchów), *bobrów, bażantów* i t. d. *(C. d. n.)*

*) Ze względu na słabość, jakiej osobliwie rodzaj psów ulega, wypada wspomnieć słów kilka o wściekliźnie. Choroba ta powstaje u tych zwierząt najwięcej z nagłej przemiany gorąca i zimna, i z pożywania zepsutego mięsa; naprzód objawia się tem, że pies zaczyna być smutny, szuka osobności, ani jeść ani pić nie chce, dysząc pianę z pyska toczy, i od wody ucieka. Ta słabość prawie nie do wyleczenia, choć się w tym względzie z leków wypadki najlepsze trafiały. Człowiek od takiego psa ukąszony zwykle najsmutniejszego doczeka końca, skoro wczesnego nie ma ratunku.

Sprostowanie:

W artykułach: „Teatr i Wychowanie“ w numerach 12 i 14ym umieszczonych zaszło kilka pomyłek myśl zupełnie spaczających. I tak w Nrze 12ym na str. 1szej, wierszu 27ym wydrukowano: „starzy nawet, które reprezentacyą narodu udawać mogli“ a powinno być: „stany nawet, które reprezentacyą narodu udawać miały“ — na str. 2ej, w szpalcie 1szej, w wierszu 5tym zamiast: „Nawet te *kobiety, które już były* aspirantkami do stanu małżeńskiego“ czytaj: „Nawet te *istoty, któreby już były* etc. a w wierszu 56 i 57ym zamiast: „Byłem świadkiem jak zkądinąd bardzo dobrze pozwalały“ czytaj: „Byłem świadkiem, jak zkądinąd roztropne matki bardzo dobrze pozwalały . . .

W Nrze zaś 14, na str. 1, w szpal. 2, w w. 36, zamiast: „zejdującem“ czytaj: „znajdującem“—na str. 2, w szp. 1, w w. 22, zamiast: „Dziecinki“ c.: „Dzieciaki“—w w. 30 z.: „przystrojonemi.—Na jednej etc.“ czyt.: „przystrojonemi; — na jednej“ w w. 33 z.: „głowy elewów—i przedstawiała...“ c.: „głowy elewów i przedstawiała“ a w. szpal. 2, w. 4., z.: „wieczór, gdzie...“ c.: „wieczór zaproszą, gdzie...“

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk., **Antoni Rother.**